Nr. 10 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 maja 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	|20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	|15		15|	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	|15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	|15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15|	■	■	|15				
Bataljony						■	|10					
Dzikie kaczory						■	|10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	|10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15|	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	|15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	|15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

146

TREŚĆ NUMERU 10:

Nr. 10 We Lwowie, 16 maja 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Z Oddziału Małopolskiego Tow. Łow. w Krakowie.

Przypominamy zamieszczony w „Łowcu" z 1 maja b. r. komunikat Oddziału zwołujący

Ogólne Zebranie Członków

na piątek 23-go (dwudziestego trzeciego) maja 1930 o godz. 5-tej po południu w Krakowie w sali Tow Strzeleckiego, ul. Lubicz 16.

Za Wydział Oddziału M. T. Ł. w Krakowie.

Stiller, em. gen. dyw. Prezes. *Morawetz* Sekretarz.

Polska nie bierze udziału w wystawie łow. w Lipsku

Związek Wielkopol. Myśliwych w Poznaniu w porozumieniu z Polskim Związkiem Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, zawiadomił w dniach ostatnich Zarząd Międzynarod. Wystawy łow. w Lipsku, że Polska zapowiedziany w niej udział definitywnie wycofuje, motywując swój krok wytworzeniem się w ostatnich czasach z winy Rządu niemieckiego tak ciężkiej atmosfery politycznej, że w niej jakakolwiek współpraca polsko-niemiecka okazała się niemożliwą.

Słuszny krok ten Centrali naszej łowieckiej społeczeństwo polskie powita z całem uznaniem, tembardziej, że zrozumie, jak on był ciężkim i przykrym do postawienia. Ciężko bowiem przychodzi zniszczyć własnemi rękoma z takim trudem i mozołem świetnie wypracowane przez siebie dzieło, udział bowiem Polski na wystawie lipskiej zapowiadał się bogato i imponująco. Centrala nasza spełniła swój obowiązek dyktowany poczuciem obywatelskiem.

Odwołanie wystawy sztuki polskiej w Berlinie, spowodowane odmową przyjęcia nad nią protektoratu ze strony ministra niemieckiego Curtiusa, świeżo wprowadzone cła bojowe niemieckie, unicestwiające z takim trudem i nakładem czasu sklejoną umowę handlową polsko-niemiecką, codzienne napaści na Polskę ze strony nacjonalistycznej prasy niemieckiej, wytworzyły warunki, w których udział nasz w jakiejkolwiek imprezie odbywającej się na ziemi niemieckiej byłby poniżającym naszą godność narodową krokiem.

W Małopolsce sprawa udziału naszego w wystawie w Lipsku, możemy to dziś powiedzieć otwarcie, nie cieszyła się popularnością i nie budziła zainteresowania, z łatwo zrozumiałych powodów. Pomijając już, co najważniejsze, t. j. względy polityczne, stwierdzić musimy, że myśliwi nasi byli wysyłaniem swych trofeów na wystawy łowieckie znudzeni i zmęczeni. Wszak wystawa w Lipsku byłaby, w kilku ostatnich latach, trzecią już wystawą łowiecką, a na rok przyszły czeka na nasz udział projektowana wystawa łowiecka w Warszawie. By przygotować się do tego wielkiego dzieła w stolicy Państwa, musimy mieć czas i spokój.

Na wycofaniu się z imprezy w Lipsku nie stracimy nic. Łowiectwo polskie jest tak potężne i wspaniałe, że stwarzać dla siebie reklamy na wystawach niemieckich nie potrzebuje.

Słuszny, obywatelski gest Przedstawicielstwa polskiego świata łowieckiego, powita całe społeczeństwo nasze, jak Polska długa i szeroka, i poza sferami myśliwskiemi, z pełnem uznaniem i głębokiem zadowoleniem.

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

Po śladach legendy

(Ciąg dalszy)

Mając wygodne w Huwnikach aż dwa domy, nie mieszkał w nich, lecz zbudował sobie przy tartaku na Wiarze drewniany barak, ozdobił go wewnątrz dywanami, pasami słuckiemi, trofeami i bronią i w nim zamieszkał. Jak mówił, dla delektowania się szumem wody. U drzwi wejściowych postawił manekina w pełnej zbroi, który przy otwarciu tych drzwi, wydobywał ogromny miecz z pochwy i wcale groźnie zamierzał się nim na wchodzącego. Dla nieobznajomionych z tym mechanizmem, bywał ten manekin niejednokrotnie przyczyną niemałego przestrachu.

Tartak i barak stały na t. zw. ryniach wiarowych t. j. na głębokiem i nadzwyczaj przepuszczalnem szutrowisku. Wskutek tej przepuszczalności nic na tem szutrowisku nie rosło, prócz nędznej trawy zawsze spalonej słońcem. Pan Józef pragnął swemu barakowi stworzyć jakieś otoczenie. Pokopał więc kanały i sadzawki usypał ślimaki, pobudował mostki i altany i pozasadzał klomby drzew dzikich i krzewów. Ale szutrowisko niewdzięcznie przyjęło tę kulturę, wszystko co posadzono, wyschło do szczętu i po kilkuletnich bezowocnych próbach, zaniechano dalszych usiłowań.

Opowiadano mi o p. Józefie także następującą historję.

Gdzieś w którejś miejscu dóbr Huwnickich, znajdowała się niewielka, zabudowana enklawa, należąca do jakiegoś żyda. — Enklaw takich było w tych dobrach bardzo dużo i nigdy nikomu nie zawadzały. — Nagle powziął p. Józef zamiar wykupienia tej enklawy; żyd jednak, czy to z wyrachowania, czy z innej przyczyny, nie chciał jej ani sprzedać ani zamienić za znacznie wartościowszy kawałek gruntu, który mu p. Józef ofiarowywał, obowiązując się jeszcze ponadto postawić żydowi nowe budynki. — Gdy wszelkie pertraktacje zawiodły, ujrzał żyd pewnego poranku, że na przyległy do jego enklawy grunt dworski zwożą jakiś budulec. — W parę dni później przyszli cieśle i w kilku dniach w odległości paru kroków od żydowskiej chałupy, stanął nowy barak. Na wszystkie pytania żydowskie, do czegoby ten barak miał służyć, odpowiadano mu tylko „usłyszysz“; żyda dziwiło to bardzo, dlaczego on ma usłyszeć a nie zobaczyć ale na wszystkie swoje sondowania otrzymywał stałą odpowiedź „usłyszysz“.

Nagle pewnego letniego popołudnia nadeszło kilkunastu „drabów“ w pełnym rynsztunku, prowadząc za sobą kilkadziesiąt psów. Ludzie i psy zakwaterowali się w baraku a zaintrygowany żyd na swoje zapytanie „Czy to ma być pilowanie“, otrzymał ponownie odpowiedź „usłyszysz“. Tego samego dnia wieczorem nadjechały z Huwnik dwa drabiniaste wozy wiozące całą huwnicką kapelę wraz z panem kapelmistrzem Pistlem i w chwilę potem żyd usłyszał rzeczywiście koncert przechodzący najbujniejszą wyobraźnię. — Pod batutą p. Pistla, kapela rznęła od ucha jakiegoś wiedeńskiego walca, któremu akompaniowały wszystkie „draby“ na rogach, a psy doprowadzone do rozpaczy wyły jak wszyscy potępieńcy piekielni. — Koncert trwał bez przerwy całą noc i nazajutrz rankiem rozbrzmiewał z niemniejszą furją, a gdy koło południa gruchnęła wieść, że połowa psów się wściekła, żyd zatarasował drzwi i okna i gubiąc patynki po drodze i kłapiąc zębami ze strachu, pobiegł do Huwnik, błagając zmiłowania od Pana Marszałka i ofiarowując sprzedaż enklawy, za co Pan Marszałek da, byle tylko pozabierać tych „wszczekłych psów i p. kapelmajstra z jego bandą“.

Po śmierci p. Józefa, po r. 1880-tym, połączył cały majątek Tyszkowskich w swym ręku, p. Antoni. Nie przeniósł się jednak na stałe do Huwnik, lecz przebywał w Trójcy, a także dużo we Wiedniu i Lwowie, jako poseł sejmowy i parlamentarny.

Myślistwo znacznie ograniczono. Rozpuszczono kapelę i część „drabów“, ograniczono ilość psów i zaprzestano dalekich wypraw. — Resztki jednak łowieckiego taboru były jeszcze wcale pokaźne i Pan Marszałek Antoni „Uważacie mnie“ (potoczne jego przysłowie) polował z tym taborem już tylko w bliskim promieniu swojej rezydencji. Był to właśnie okres, w którym bliżej stykałem się z domem Tyszkowskich.

Oryginalnemi — jak wszystko u Tyszkowskich, były także i ich domy. — W Huwnikach, rezydencji p. Józefa, były dwa murowane domy, zdaje się skrzydła jakiegoś projektowanego a nigdy nie wykonanego większego gmachu.

Jeden z tych domów, właściwe mieszkanie, był parterowy z wysokim łamanym dachem, w którym było piąterko o kilku ubikacjach. Dach był stale pokryty setkami gołębi, których olbrzymie stada, chowały się na każdym folwarku. Oprócz gołębi, lśniły na każdym kominie, bramie, słupie dziesiątki pawi, które tu, bez żadnych specjalnych starań chowały się i prosperowały.

W około domu roiło się zawsze od psów, „drabów“ — i żydów, którzy cieszyli się specjalnemi względami i zawsze mieli jakiś interes do Pana Marszałka. Sień bielona, ozdobiona była strzelbami, których ilość zawisła była od ilości „drabów“, będących w danej chwili na służbie. — Na wbitych w ściany ćwiekach wisiała prawie zawsze sezonowa zwierzyna. A więc wiązka kuropatw, czy słonek, para lub więcej jarząbków, kilka zajęcy i nieraz kopami kwiczoły i jemiołuchy. — Wszystko to były owoce pracy „drabów“ dbałych o pańską kuchnię.

Wnętrze domu, również bielone, nie zdradzało niczem ani majątku, ani stanowiska jego właścicieli. W pustych pokojach tułało się po kątach nieco czcigodnych, ciężkich starych mebli, uzupełnionych zwykłemi drewnianemi stołkami. Całe urządzenie nie zdradzało najmniejszej tendencji do komfortu, lub do artystycznych zamiłowań.

Drugi dom, cały piątrowy, zapchany był jakąś czerwoną wiedeńską tandetą i służył tylko w jakichś „pa-

radnych“ okolicznościach, gdy trzeba było przyjmować i nocować egzotycznych gości.

Dwór w Trójcy drewniany, niski, był jeszcze prymitywniej urządzony. — O najbliższe otoczenie, względnie o jego piękno, nie dbano wiele, kosa i miotła były prawie jedynemi narzędziami ogrodniczemi, ale przepiękne górskie położenie, bezpośrednia bliskość lasów i szumiący Wiar pod progiem, tworzyły całość o wielkim uroku.

Z tych wszystkich zabytkowych i wartościowych przedmiotów, o których wyżej wspomniałem, nie dostrzegło oko niczego, bo wszystko było ukryte w szafach i skrzyniach i tylko w rzadkich wypadkach, na czyjeś specjalnie wyrażone życzenie, można było to lub owo oglądnąć. Panowie i ich goście jadali na porcelanie nabytej w powiatowem miasteczku, a tymczasem służba w kuchni i kredensie dotłukała resztek wspaniałej saskiej lub starowiedeńskiej porcelany, a chłopaki w stajni nakrywali się łachmanami wschodnich kobierców.

Pod względem braku pietyzmu dla „starych gratów“ nie byli Panowie Huwniccy wyjątkowi. — Wiek XIX-ty strasznym był dla licznych w owym czasie jeszcze zabytków w dworach szlacheckich. — Stoczył czerw jakiś starożytny mahoniowy mebel, lub też uszkodzono go przez złe obchodzenie, nikt nie pomyślał o jego restauracji. — „Stare rupiecie“ wyrzucano na strych, na którym po latach rozsypywał się czcigodny zabytek w proch do reszty. Miast niego występował nowożytny polirurowany orzech ku niemałemu zadowoleniu i dumie właścicieli. Uszkodziły mole lub myszy bezcenne stare dywany lub gobelinowe roboty prababek, nikt nie zadawał sobie trudu ich naprawy. Szły do stajni jako czasowe nakrycie koni, lub pościel dla służby stajennej i znikały w krótkim czasie bez śladu. — Bezcenne serwisy porcelanowe topniały w codziennym użytku a resztki ich tułały się po kuchniach, kredensach i garderobach, służąc „drugostolnemu“ użytkowi. Przez długi czas strychy dworskie były istną kopalnią złota dla różnych obcokrajowych antykwarjuszów i szperaczy, którzy odkrywali w nich prawdziwe białe kruki, o nieznanej właścicielom wartości, i które nabyte po minimalnej cenie bogaciły po umiejętnej restauracji, nowonabywców. — Wracajmy na teren łowiecki.

Pan Antoni Tyszkowski, ogólnie znany jako „Pan Marszałek“ był w tym okresie, kiedy częściej się z nim stykałem (1885—1894) już człowiekiem około 70-cio letnim, dużego wzrostu i znacznej tuszy. Chodził już z trudnością, ale rad polował, — naturalnie w jesieni. — A że teren był wszędzie w okolicy Huwnik górzysty, więc na stanowisko wyjeżdżał p. Antoni końmi, a gdzie się nie dało, to wołami i tam zasiadał na umyślnie dla niego ustawionej ławce, z której dzień cały się nie ruszał. Strzelał dobrze, ale chciwym strzału i wielkich rozkładów nie był. Głównemi dla niego atrakcjami były: piękna pogoda, jesienna dekoracja lasów, gon psów, odgłosy rogów i wogóle cały ten gwar i ruch, jakie liczne grono myśliwych i mnoga psiarnia wnoszą z sobą w knieję. Nie na dzisiejszy szablon zakrojone były te polowania i nie dla ich apoteozy przeznaczone są te o nich wzmianki, lecz jedynie dla zachowania pamięci o tem, co dziś już się powtórzyć nie może — i na co dzisiejsze nasze pojęcia o polowaniu i związanej z niem karności, pozwoliłby nie mogły. A przecież mimo wszystkich stron ujemnych, które łaskawy czytelnik sam wyłowi z dalszego toku tych wspomnień, tkwił w nich pierwiastek romantycznej pierwotności coraz bardziej brakujący dzisiejszym naszym polowaniom — i coraz bardziej nieubłaganie z nich eliminowany.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

UTRACONE SZCZĘŚCIE

(Ciąg dalszy)

Huknęły dwa strzały, po chwili trzeci i kogut zbarczony, łukiem zaczął spadać. Nim jednak nogi jego dotknęły ziemi, skoczył Azor, chwycił go w paszczę i żywego jeszcze podał swemu panu.

Więcej trzeba panie zakładać — krzyknął Michał, który dalekim strzałem ściągnął cietrzewia.

Panie, Leda stoi! Niech pan naciera! To stado młodych! wołał dalej.

I znów załopotały skrzydła, zagrzmiały strzały Różogórskiego i dwa ptaki osunęły się na wrzosowisko.

Jeszcze jeden strzał, to Michał ściągnął jeszcze jedną sztukę.

Rozognione hukiem wystrzałów psy, przez chwilę rzucały się na wszystkie strony, aż wreszcie pamiętne swej tresury znowu zaczęły buszować.

Michał, który szedł dalej teraz nieco od Różogórskiego, usłyszał jakiś szelest w krzakach. Zaciekawiony tem zjawiskiem, powoli i cicho zaczął się zbliżać do miejsca, skąd usłyszał szelest.

Ledwie jednak postąpił parę kroków, kiedy ujrzał, jak dwa lisy atakowały borsuka.

Zwolna podniósł strzelbę do ramienia, wymierzył i celując w lisa, strzelił.

Po strzale jeden lis zrulował, drugi i borsuk uszły.

Gdy zbliżał się do leżącego lisa, usłyszał nasamprzód dwa, potem znów dwa strzały Różogórskiego.

To dziedzic Rzewuszek siał śmierć wśród rozsypanego stada kuropatw.

Słońce paliło swemi promieniami niemiłosiernie ziemię, rosiło twarze myśliwych kroplami potu.

To też gdy tylko Michał i Różogórski wynurzyli się z gąszczów zagajnika, wnet położyli się i wkrótce poczęli trawić czas na błogim odpoczynku, urozmaiconym pouczającemi wykładami Michała.

Niech pan mi coś opowie o życiu cietrzewia — przerwał rozmowę Różogórski, patrząc na leżącego opodal koguta.

Pierwszem i najgłówniejszem corocznem polowaniem huwnickiem było polowanie w wigilję św. Michała, 28 września.

Polowanie to było rodzajem jour fixu, w którym co roku całe rzesze myśliwych dawały sobie rendez vous w Huwnikach lub Trójcy. Towarzystwo bywało bardzo liczne i bardzo mieszane. Bo oprócz sąsiadów i różnych górskich „Szaraków“, urzędników starostwa i Rady powiatowej, nauczycieli wiejskich, pojawiały się różne „Figury“, o których wedle słów Mickiewicza, nikt nie wiedział „kto to zacz i kto go rodzi“.

Do opolowania w danym dniu przeznaczona bywała jakaś górzysta knieja, przez której całą szerokość od pola do pola, przechodziła droga nieraz kilkukilometrowej długości. Na najwyższem wzniesieniu tej drogi zwykle na jakiejś polance, było wyznaczone stanowisko p. Marszałka i parę ławek dla niego i dla honoracjorów, którzy woleli dyskurs polityczny w kniei od samego polowania. Kandydatów na te ławki, wybierał sam Amfitrjon i od takiego „zaszczytu“ niepodobieństwem było się wymówić. Obok ławek gorzało rozpalone już w wigilję tego dnia olbrzymie ognisko, w którem trzeszczały całe kłody bukowe i jodłowe i grzały się balie miedziane z najrozmaitszemi przysmakami a na położonych na kobyłkach tarcicach, stały liczne flaszki i zimne przekąski pod dozorem i zarządem różnych „fartuszków“, opiętych zwykle na wcale powabnej ludowej architekturze.

Na prawo i lewo od tego stanowiska szczytowego stawali na drodze myśliwi, gdzie i jak kto chciał.

Z chwilą, gdy Marszałek zasiadł na ławie, puszczono z każdej strony drogi po kilkanaście psów na znak dany trąbką i od tej chwili zaczynała się najzupełniejsza autonomja. Zapaleni Nemrodzi pilnowali zwierza, statyści roztrząsali z Marszałkiem bieżące zagadnienia polityczne, smakosze i żarłoki otaczali rondle i flaszki, a wielbiciele ludowej architektury starali się zgłębiać to co fartuszki kryły przed ich wzrokiem. Inscenizacja cała, zwłaszcza wrazie pięknej jesiennej pogody, miała w sobie coś niesłychanie „majówkowego“.

Psy tymczasem buszowały po tysiącach morgów z prawej i lewej strony drogi na którą goniony zwierz wytknąć musiał, padały strzały, a gdy psy natknęły na dziki, bywały emocjonujące chwile. Z raz obstawionej drogi nie ruszano się przez dzień cały a prócz myśliwych na niej stojących, knieja cała naszpikowaną była „drabami“ znającymi na wylot wszystkie przesmyki i wyrastającymi z pod ziemi zawsze tam, gdzie była sposobność do strzału. Była to rzecz nie do uchylenia i nie pojmowano, aby inaczej być mogło.

Z bardzo małym wyjątkiem nie widywano sztućców na tych polowaniach. Wszyscy prawie uzbrojeni bywali w dwururki o gładkich lufach. W kulę nie wierzono, bo wszak wiadomo o niej, że „człowiek strzela a los kule nosi“. Zato tembardziej posługiwano się lotkami i mimo wszystko, co o pociskach tego rodzaju wiemy, widywałem bardzo grube dziki rulujące jak zające po takim lotkowym poczęstunku. Sam w życiu nigdy lotkami nie strzelałem i osobistych doświadczeń z tego rodzaju amunicją nie mam. Pomimo gwaru panującego w okolicy Marszałka, pomimo trzeszczącego ogniska i fruwających fartuszków, zdarzało się nieraz, że zwierz naciśnięty przez psy, wytykał wprost na to stanowisko. Pan Antoni chwytał wtedy strzelbę opartą obok niego o ławkę i najczęściej nie pudłował. Razu pewnego byłem świadkiem, jak trzy sarny naciśnięte przez psy wskoczyły w dogasające ognisko, a że było to już pod

---

A, z miłą chęcią. Urządzę panu poprostu malutki wykład o jednym z najciekawszych ptaków, należącym do rodziny kurowatych.

Otóż cietrzew zamieszkuje całą niemal Europę. U nas spotkać go można wszędzie. Już z końcem marca zaczynają się toki kogutów. Gra ta odbywa się z pierwszym brzaskiem dnia, nim skowronek rozpocznie pod niebiosami swe srebrzyste trele, zlatują się zewsząd samce i zaczyna się tok. Wszędzie daje się słyszeć głos, który można odtworzyć przez wymawianie sycząco „czaus — szili“. Ptak przytem wyciąga swą szyję, pochyla głowę ku ziemi, ciągnie lotkami, ogon rozkłada w wachlarz, kładąc go prawie na grzbiecie. Jeżeli na tym samym terenie znajdzie się parę kogutów, wówczas staczają one walki kończące się jednak bezkrwawo.

Samiczka rdzawo-czarnego upierzenia znosi 7—15 jajek, które składa w gnieździe na ziemi.

Na cietrzewie mamy parę rodzajów polowań. Jedno z nich najbardziej przez myśliwych lubiane, to strzał z budki do tokującego koguta; drugie — to polowanie z tak zwanemi bałwanami.

Robi się w tym celu kukłę w formie siedzącego cietrzewia, osadza się ją na długim drążku i do takiego to bałwana, zlatują się cietrzewie, myśliwy zaś razi je śrutem z ukrycia. Trzeci rodzaj polowania, to takie, jak nasze dzisiejsze: z psami. Ma jednak ono miejsce dopiero wtedy, kiedy młode zaczynają już latać, a stare koguty, po wylenieniu się dostają nowe upierzenie.

Oto ma pan cały wykład.

Dłuższą chwilę tak jeszcze rozmawiali, lecz wkrótce, posiliwszy się, ruszyli dalej.

Jeszcze parę strzałów zagrzmiało, jeszcze parę ptaków postradało życie, gdy znów nasi myśliwi spotkali się, lecz tym razem z minami nic dobrego nie wróżącemi.

Na zachodzie błękit nieba powoli stawał się ciemniejszy i wkrótce w powietrzu dały się słyszeć grzmoty zwiastujące nadciągającą burzę.

Schrońmy się panie lepiej do gajowego, nie zdążymy bowiem uciec przed nawalnicą — rzekł Michał.

Szybko skierowali swe kroki nemrodzi ku gajówce leżącej w lesie.

Burze zbliżała się coraz bardziej.

wieczór, widać było dokładnie jak z pod ich raciczek wytrysły całe snopy iskier.

Wśród licznej psiarni znałem dwa psy „Zagraja“ i „Borucha“ specjalistów do dzików. Zwłaszcza Zagraj był tropowcem wybornym. Był to już stary i ciężki pies, który wolno chodził po lesie z wyłącznym zamiarem wyszukania dzików, inną zwierzyną się nie interesował. Gruby głos Zagraja był nieomylnym znakiem, że dziki są i gdy się odezwał, wszystko co żyło biegło z wszystkich stron na przełaj ku dzikom i wtedy dokoła nich tworzył się prawdziwy kociołek, z którego wyjścia dla nich nie było. Niestety kociołek taki groźnym był nietylko dla dzików. Dwukrotnie w ciągu lat wyniesiono z takiego kociołka po jednym „drabie“ zabitym, ale nikogo to zbytnio nie wzruszało i nikogo od podbiegania do dzików nie oduczyło. Sam raz w czasie polowania w Cisowej w Przemyskiem należącej do dóbr Huwnickich, byłem w nielada opałach przy takiej okazji i tylko dzięki temu, że upadłem na ziemię za grubym bukiem i w tej pozycji przeczekałem nawalnicę brykających i kołatających po drzewach w mojej bliskości lotek, uniknąłem kalectwa lub śmierci.

Dzień chylił się ku zachodowi, psy z coraz mniejszym zapałem buszowały po lesie, coraz rzadsze padały strzały, rondle i flaszki świeciły pustkami. Stary Marcin trąbił „podjezdnego“ i kończyło się polowanie. Ściągano zdobyte łupy, dochodzono, co gdzie i jak kto ubił, zajeżdżały wozy zabierające honoracjorów na obiad do Huwnik lub Trójcy a „Figury“ znikały tymczasem per pedes ścieżynami i manowcami, dążąc do nieznanych siedzib i przepadając na rok cały, wypływały znowu w następną wigilję św. Michała w oznaczonym punkcie zbornym.

Obiad choć niewybredny, bywał niezły, podlany jakimś węgierskim cieńkuszem, rozplątującym języki i podniecającym humory. Fraków nie używano, a smokingi nie były wogóle znane. Z toaletą nie robiono długich zachodów. Zrzucano grubsze kurty a w rzadszych wypadkach długie buty, ten i ów obmył ręce i podczesał czuba i był już gotów.

Tematem rozmowy było naturalnie polowanie i psy. Omawiano dzień obecny, odgrzewano dawniejsze wypadki i wspomnienia. Ponieważ wszyscy obecni polowali wyłącznie z ogarami, więc na psiej kanwie haftowano jaskrawemi barwami dawno minione zdarzenia. Jak wiadomo, kamieniem probierczym ogara jest zając, więc i niepozornemu szarakowi poświęcano dużo miejsca, przypominano sobie takiego a takiego mistrza „Kopyrę“, który przez parę lat umiał udaremniać wszelkie zamachy, czynione na jego życie, potrafił zawsze psy pogubić i nigdy nie spotkać się z myśliwymi, aż wreszcie ktoś przecie przeciął zajęczy przesmyk i życie. Wspominano zgon takiego mistrza z żalem, bo z chwilą jego zgonu traciła osierocona knieja wszelki powab dla prawdziwych myśliwych, zawierając już tylko zwyczajne głupie szaraki, które po kilku nawrotach padały niechybnie ofiarą swojej głupoty. Nikt z dzisiejszych myśliwych strzelających dziennie nieraz i po kilkaset zajączków w kotłach i ławach, nie jest w stanie sobie wyobrazić, jaką sumę wrażeń, przez jak długi czas i ilu myśliwym dostarczał taki jeden arcyzając, śmierć jego była poprostu opłakiwana przez myśliwych całej okolicy, łowy traciły wszelki interes aż do chwili, gdy ktoś może w trzecim powiecie odkrył nowego gracza. (C. d. n.)



Ledwo myśliwi zdążyli przekroczyć progi gajówki, gdy zerwał się wiatr, szeleszcząc złowrogo wśród zeschłych liści.

Nie upłynęło parę minut, gdy otwarły się niebiosa i polały się strugi deszczu.

Piorun za piorunem walił w gęsto zwarty las, budząc trwogę w wszelkiem stworzeniu.

Wiatr szalał, huczał, gwizdał, dął przeraźliwie, wygrywał wśród konarów gamę satanicznego śmiechu. Ciął i łamał wszystko, co znalazł na swej drodze.

Deszcz szumiał po liściach drzew.

Burze jednak powoli przechodziła.

Od czasu do czasu dawał się słyszeć daleki odgłos grzmotu.

Ulewa powoli przechodziła w mrzący „kapuśniak“.

Mimo padającego jeszcze deszczu, usiedli Michał i Różogórski na wóz gajowego i podążyli do domu.

VII

Kiedy święty Marcin na siwym przyjechał koniu, kiedy pola i łąki okryte białym całunem, spoczywały pod grubą warstwą śniegu, nowa faza życia objęła w swe władanie naturę.

Szaro było jeszcze na dworze, gdy przed leśniczówkę zaczęły się zjeżdżać pojazdy, wiozące gości na polowanie.

W saloniku żywo rozprawiali o mającej się odbyć batalji. Jedni popijali herbatę, inni raczyli się, dla dodania sobie animuszu, kieliszkiem starki.

Michał, ubrany już do polowania, stał na ganku, witał się z gośćmi, odbierając równocześnie raporty przybyłych gajowych.

Padają ostatnie rozkazy, wysypuje się brać myśliwska z leśniczówki i wnet na nieskazitelnie białej powierzchni ziemi wije się czarny, długi wąż sanek.

I wkrótce, zwykłym torem rzeczy, myśliwi po wylosowaniu stanowisk zajmują swe miejsca.

Miot pierwszy, z zastrzeżonym pierwszym strzałem do dzika, lub czegoś poważniejszego, zapowiada się ciekawie, gdyż gajowy uprzedza, że w miocie tym będzie niespodzianka, oraz radzi włożyć kule do luf.

Stanowiska zajęte.

Sygnał wygrany na lufie rozpoczyna pędzenie.

JAROSŁAW HUBALEK

GENERAŁ

sylwetka karpackiego dzika

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Ciąg dalszy)

Locha uczyła swego jedynaka biegłego odróżniania tych odcieni, zanim nadejdzie okres postu, choć dzik nie jest zwierzęciem wybrednem. Zarówno nie gardzi smacznym ślimaczkiem, jak starą padliną. Kukurydzę wyłuskwi zębami lepiej, niż gospodarz palcami.

Miejsca obfitujące w grzyby — zwietrzy z oddali — smaczny korzonek zwietrzy pod ziemią równie dobrze, jak padłego jarząbka w gęstym krzaku. Jednym słowem jest typowym wszystkożercą.

Nasz dziczek tedy rozwijał się pod każdym względem, a na jesieni przy tegorocznym urodzaju buczyny — przewyższył wszystkich rówieśników. Matce już nie był ciężarem, stawał się jej towarzyszem i pomocnikiem. — Od chwili, gdy zagościli w wysokich górach, mieli zupełny spokój. Nikt do nich nie strzelał, nikt ich nie prześladował.

Z jesiennych słot nie wiele sobie robiły — twarda skóra i gęsty sztywny włos nie przepuszczały wilgoci i chłodu. Na paszę codziennie wychodziły dopiero wieczorem, wałęsały się całą noc, nad ranem odwiedzały najbliższe bagno, i szły spać. Stałego legowiska nie miały, kładły się gdziebądź, byle ryjami pod wiatr. Dzik bowiem ma jedną słabą stronę — sen twardy. Niejeden myśliwy podszedł odyńca na 30 i 20 kroków, niejeden też odyniec padł we śnie. Nasza locha wiedziała o tem i ryj miała zawsze na straży — przytulony do ryjka małego jedynaka.

III.

Nic na świecie nie trwa wiecznie, a zwłaszcza szczęście, przypadki zaś chodzą nietylko po ludziach. Opadał już ostatni liść z buków. Starodrzew wyciągał obnażone ramiona ku niebu, podczas gdy młode podszycie, żyjące w cieniu olbrzymów, nosiło jeszcze jesienną szatę, spadającą dopiero późną zimą. Pogoda od dwóch tygodni była fatalna. Lodowo zimne krople deszczu ze smutnym szelestem padały na zwiędłe listowie. Zimny „polak" hulał po górach, gwiżdżąc i zawodząc wśród gołych konarów. Z nastaniem ciszy, zawitał pierwszy mróz. Spóźniony liść gęsto padał z drzew z monotonnym szelestem, brzegi potoków lamowały pierwsze koronki lodowe, a w gołej tyczkowinie, tęskno piskał jarząbek. — Dziczek z matką wybrali się na ziemniaczysko, niestety nie oni jedni.

Na skraju wioski, przylepiona do stoku góry, jak jaskółcze gniazdo — stała samotnie chata Peczki Mikuły. Jedyna izba ciemna od dymu, stanowiła mieszkanie właściciela, steranej pracą i nędzą żony i pół tuzina bajecznie brudnych i oberwanych dzieciaków. On rozwalony leniwie na ławie — pyka fajkę, strzykając śliną na środek izby, dzieciaki swarzą się i poszturkują wzajemnie, baba płaczliwym głosem zawodzi nad swą nędzą i wyrzuca mężowi, że nie stara się o robotę ani życie, boć po ostatnim dawno zjedzonym „capie", od paru tygodni nic do domu nie przyniósł.

Milcz stara i nie urągaj, kiedy się nie rozumiesz na rzeczy! — bronił się zawodowy kłusownik Mikuła. — Myślisz, że dziś tak łatwo nosić do domu mięso, jak dawniej? Dzisiejszy leśny, a choćby i gajowy, tak ci obstawi człowieka, że ani sposób się ruszyć. Nachodzą się oni za mną jeszcze dosyć — to swoją drogą. — Na

---

Naganka podniosła krzyk i wkrótce umilkła.

Milczenie zaległo wokoło.

Wtem do uszu myśliwych dotarł okrzyk:

Wilk, wilk, trzymaj!

Rozgrzały się serca myśliwych, ręce drgały, oczy napróżno wypatrywały zapowiedzianego zwierza wśród krzaków.

Huk wystrzału przerwał pełne naprężenia oczekiwanie.

To baron Zand celnym strzałem trafia sporego wycinka.

Teraz prawy flank mówi:

Michał ukryty za drzewem, po zapowiedzeniu wilka, oczy utkwił w zbity gąszcz krzewów i gdy tylko zamajaczył siwy jakiś cień, wymierzył i strzelił.

Zwierz zrulował.

Był to stary basior.

Ranny, dobywszy resztek sił z siebie, czołgał się, chcąc ujść w krzaki.

Lecz drugi strzał przerwał męki wilka i przygwoździł go na miejscu.

W drugim miocie nie było takiego urozmaicenia.

Liczne tylko zastępy szaraków kładły swój żywot pod strzałami myśliwych.

Już i niejedna lisia kita zdobiła rozkład.

Po zejściu ze stanowisk, myśliwi chcieli iść na dalsze, gdy tymczasem zajechały sanie, wiozące panie, które przyjechały ze śniadaniem.

Teraz dopiero rozwiązały się języki bohaterom dnia:

Panie — krzyczał baron Zand, naganka krzyczy o wilku, a tu wypada na mnie dzik. Jedna chwila zastanowienia: czy strzelić do dzika i spłoszyć wilka, czy też czekać spokojnie na ukazanie się tegoż. Ale myślę sobie, strzał do dzika dozwolony i trzymając się przysłowia, że lepszy rydz niż nic, walę do dzika. Pada strzał i widzę, jak dzik zarył ryjem w ziemię, by już więcej nie wstać.

Michał dotychczas stał na uboczu, przyglądając się ubitemu przez siebie wilkowi, ale kiedy ujrzał wśród grona pań Sylwię, podszedł do niej.

Cóż to pani dziś w lesie bez strzelby? — zapytał.

„Młakach" przesiedziałem trzy noce — ale co zrobię po ciemku z gwerem?

Dzika chybię, a gajowego sprowadzę. Ale dzieciska głodne.... to i spróbuję. Od wczoraj leży podrzucona kukurydza — dzik ją zwęszy. Leśny był w mieście w sądzie. Wróci i pójdzie spać. Muszkę nakredowałem, księżyc zejdzie koło północka — spróbuję... Byle wiatr był dobry...

A był istotnie dobry, w miarę silny i wprost od lasu. Locha z synkiem wybrała się na przegląd ziemniaczyska. Szła wolno, co chwila wietrząc, wabiona zapachem kukurydzy, zmieszanym z maleńkim atomem zapachu człowieka. Już jest na skraju lasu. Woń coraz wyraźniejsza — jedna i druga. Był tu człowiek — a może jest? ale gdzie? Czy nie w tych cierniach splątanych jerzyną? Pozostawiła synka w cieniu — sama zaś lasem obeszła, by schwycić wiatr z drugiej strony. Za obrosłą miedzą skryty Mikuła — widział ledwie grzbiet lochy — strzał był niepewny, wypadało wyczekać! Locha idąc z wiatrem, wietrzyła wprawdzie, lecz była już blisko miedzy.

Rdzawa lufa wojskowego karabinu podniosła się — i w tej chwili, kiedy locha robiła zwrot w tył — padł strzał. Coś ją boleśnie ukłuło w zadnie udo. Kryta miedzą, rzuciła się do ucieczki, zabrała z sobą synka i mknęli do lasu. Gwiznęła druga kula. Malcowi zdawało się, że mu odgryzło czubek ucha, więc zatrzepał tylko główką i gnał dalej za matką. Stary kłusownik wstał i przy zapałce obejrzał nastrzał. Na gałązce leszczyny znalazł farbę na półtorej piędzi od ziemi. Zrozumiał, że na szukanie zwierzyny trafionej w lewe udo zadnie — szkoda czasu. żeby to nie był karabin i kula, tylko dawna lefoszówka i loftki — obie sztuki by leżały. Ale fuzyjsko odebrały szelmy w zeszłym roku...

We wsi rozszczekał się pies — jakby na obcego. — Tknięty złem przeczuciem — wsunął Mikuła karabin pod zwalony pień drzewa i pośpieszył do wsi. Opłotkami i cieniem dostał się do chaty. Już brał za klamkę, gdy z za stosu drzewa wysunęła się jakaś wysoka postać i w dwóch skokach stanęła przy Mikule. żelazny uścisk dusił mu gardło, druga ręka wymierzyła mu siarczysty policzek, poczem sążnisty gajowy, były legjonista sybirski, wciągnął go do chaty, gdzie czekał już drugi gajowy. Nim się Mikuła opamiętał po następnym policzku, miał już usta zakneblowane i ręce związane na plecach mocnym rzemieniem.

Na Słowaczyźnie nie stosuje się do kłusowników prawa czeskiego. Ustawa zaś madziarska przewiduje karę dwudziestu do trzydziestu koron, a w razie niemożności zapłacenia jej, areszt jednego, lub dwóch dni. Kłusownik odsiaduje areszt i uprawia dalej swój proceder, póki go znów nie złapią... Bardzo oględnie zatem sądzić należy straż leśną, która z narażeniem życia poświęca dziesiątki nieprzespanych nocy i chwyta kłusownika po to, aby go sąd po dwóch dniach wypuścił na wolność. Karę więc wymierza sama i to nieraz bardzo dotkliwą.

Co się dalej działo, tego nie widziało oko ludzkie, dość że skruszony Mikuła poprowadził gajowych na miejsce przestępstwa, a karabin znalazł się w ich rękach. Rusin bowiem jest fatalistą, „chwyciłeś — to i bijesz" myśli — i nie broni się nigdy. Z własnym karabinem przez plecy, szedł Mikuła posłusznie na najbliższy posterunek żandarmerji. Komendant zatrzymał karabin, jako corpus delicti, dwaj żandarmi zaś, udali się do wsi na rewizję domową. Okazało się, że na strychu wisiały dwie skórki sarnie i jedna jelenia, z komina zaś wyciągnięto różki pięknego rogacza, ubitego w lecie. Biedny Mikuła nie zdążył jeszcze tych trofeów sprzedać żydowi, które niechrzczony naród dopiero w zimie skupuje po wsiach.

Ano, jak pan widzi. Ale pamiętam o was i przywiozłam wam śniadanie.

Żywo miał jeszcze Michał w pamięci scenę ze Steklina, choć już sporo czasu minęło, i gdy tylko odbili się na chwilę od reszty towarzystwa i zginęli w krzewach jałowcu, objął Michał ramieniem kibić Sylwji, chcąc ją pocałować.

Nie dała mu się jednak.

Jakiś chłód powiał między nimi. Brakło im tematu do rozmowy.

Chodźmy tam do nich — rzekł Michał, wskazując na grzejących się przy rozpalonem ognisku myśliwych.

A chodźmy — rzekła Sylwja, lecz w oczach jej zatlił się ognik zalotności i oparła się na ręku Michała.

No idziemy? — zapytała znowu.

Czy ona wie, czego chce? — pomyślał Michał i wzruszywszy ramionami, ruszył naprzód.

Śniadanie trwało dość długo i kiedy panie odjechały, myśliwi ruszyli znowu na stanowiska.

I znów pędzi na śmierć armja zajęcy.

W popłochu przemyka rudel saren. Pan i władca haremu zamyka pochód.

Napróżno jakiś z miejska ubrany myśliwy razi je śrutem z pięciostrzałowego Browninga.

Na stanowisko Różogórskiego wypada w olbrzymich susach kozioł. Skacze poprzez pnie, przesadza krzaki.

Napróżno. Strzał myśliwego przerywa nić jego żywota.

Biegnie jeszcze parę kroków, potyka się, on biegacz i skoczek niezrównany, po chwili pada.

Krew chlusnęła pyskiem i zabarwiła biel śniegu.

Ostatni gon założony; dzień bowiem ma się ku końcowi.

Na stanowisko Michała wychodzi odyniec, którego ten poważnie rani.

Zeszli myśliwi ze stanowisk syci chwały i zwycięstwa i siadłszy do sanek, wkrótce odjechali do Rzewuszek.

Michał został jeszcze w lesie, by sprowadzić z leśniczówki psy i pójść za ranionym dzikiem, którego ślad znaczą wszędzie krople posoki na śniegu.

(C. d. n.)

Nie koniec na tem. Z za belki wydobyto jeszcze dwie paczki naboi z kulami starannie napiłowanemi na krzyż. Zmęczony śmiertelnie legł Mikuła na aresztanckiej ławie, siedzieć bowiem, było dlań zbyt bolesnem...

Raniona locha tymczasem, mocno kulejąc dowlokła się do nieprzebytych gąszczów, o ośm kilometrów od miejsca wypadku. Nieznośny ból jej dokuczał. Kość była nieruszona, ale ustąpić na lewą nogę ani sposób. Synek nie opuszczał matki na krok. Było mu dziwno, dlaczego wciąż leży i wstaje tylko po to, aby w bagienku ochłodzić zaognioną ranę. Na drugi dzień, wygłodzony, oddalił się nieco za pożywieniem. Z lochą zaś było coraz gorzej. Rana się jątrzyła, a jakiś snać odprysk kostny, boleśnie wrzynał się w mięśnie przy najmniejszem poruszeniu nogi. Piła samą wodę, nic nie jedząc. W męczarni bólu i gorączce leżała wciąż w wykrocie starego buka.

IV

Zabiegi chirurgiczne i antyseptyczne opatrunki nieznane są dzikowi. Posiada on za to niezmożoną tężyznę organizmu. Dzięki niej, po miesiącu choroby, nasza locha wstała z barłogu boleści, wychudła jak szkielet. Odprysk kostny, zmartwiały i zgnity, wypłynął z ropą i niebezpieczeństwo minęło. Organizm wyniszczony chorobą powoli się wzmocnił, apetyt powrócił. Natura okazała się dla niej litościwą, pora bowiem była sucha i buczyny podostatkiem.

Dziki przestały zapuszczać się w doliny, bo i po co? Gołe pola nie dawały pożywienia, a w pobliżu mieszkali źli ludzie ze strzelbami. W lesie zaś panował spokój, stół obficie zastawiony, czegoż więc więcej potrzeba? W dzień się spało, nocą z pierwszemi gwiazdami, ruszało się małym kłusem na buczynę. Po uczcie, nad ranem, stała kąpiel w bagienku po uszy i miłe czochranie się o pień drzewa. Po tem spoczynek i sen niezmącony do samego zmroku. Nasza parka miała barłóg wymarzony. Wykrot odwiecznego buka zawiany miękkim, suchym liściem, otwarty na stok góry, po którym wiła się ścieżka strażnicza. Dwa razy zdarzyło się, że nasi mieszkańcy barłogu poczuli od tej strony woń człowieczą. Raz szedł gajowy, drugi raz jakiś chłop o podejrzanym wyglądzie. Za każdym razem locha wstała na przednie nogi, gotowa do ucieczki, ludzie jej jednak nie zauważyli. I tu zdobył malec nową mądrość życiową: jeśli nie potrzeba koniecznie, nie zdradzaj się ucieczką, raczej przeczekaj! Człowiek, idący po ścieżce, jest w obchodzie i niebezpieczeństwo ci nie grozi; gorzej, jeśli idzie lasem, zamiary wtedy ma nieczyste.

Z początkiem grudnia spadły pierwsze śniegi. Dziczek nie wiedział, co się dzieje. Coś białego, o smaku wody... Widząc jednak matkę spokojną, sam się uspokoił również. Śnieg pruszył cały dzień i noc, i tej nocy nasza parka nie opuszczała legowiska. Nie wiem, czyli to zwyczaj, czy wynik doświadczenia, dość, że wszelki zwierz leśny, nie wyjmując zająca i lisa, uważa ponowę za coś niebezpiecznego. Pierwszy dzień po ponowie jest nader ubogi w tropy. Niedoświadczony myśliwy martwi się, nie widząc w rozległym rewirze, prawie żadnych śladów. Niechaj obejdzie go dnia następnego, pocieszy się napewno.

I locha miała dobre przeczucie, skoro unikała ponowy. Wczesnym rankiem bowiem zobaczyła gajowego na ścieżce, pilnie usiłującego czytać na białej mapie wyśliwskiej. Nie dojrzał ich w barłogu i spokojnie meldował leśniczemu, że w rewirze niema ani jednego dzika.

Stale jednak nie mogli się wylegiwać, żołądek wołał o swe prawa, wyszli więc na paszę trzeciego dnia. Stara troskliwie unikała przejścia przez wiadomą ścieżkę. Poza swój rewir, mierzący zresztą dobrych sto hektarów, nie wychodzili. Wygodą wielką był zupełny brak duktów i linji gospodarczych oraz granicznych. Stanowił je potok, różnica porostu lub grzbiet górski. Stanowiło to poważną rękojmię przed otropieniem.

Zwierzyna miewa czasami swe kaprysy. Bez żadnej potrzeby, bo buczyny na miejscu było w bród, nasza para przewędrowała sobie na drugą stronę gór, spragniona widać słonecznego ciepła. Rósł tam młody gąszcz bujnej leszczyny i korzeniowych wyrostków czarnej topoli, podszyty trawą i pnącą jarzyną. Nasi wędrowcy nie zapominali po drodze o zaspokajaniu żołądka. Co chwila schylały się ryje w poszukiwaniu słodkiego korzonka topoli, lub laskowego orzecha.

(C. d. n.)



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza*)

Tłum. z angielskiego A. M.

(W Kolumbji brytyjskiej. Niedźwiedź. Caribou)

Piękna pogoda trwała i te przeklęte muchy, do których nigdy nie zdołałem przywyknąć, nie opuszczały nas i obrzydzały życie.

Około godziny dziewiątej pożegnałem Nahlin, przebyłem rzekę i zapuściłem się w las na przeciwległym jej brzegu.

Dennis w towarzystwie Jimmy Feit wędrował tą drogą z angielskim sportsmanem przed dwoma laty, pozostawiając wówczas rodzaj śladu, gdzie przejście zdawało się być najlepszem.

W niektórych miejscach ziemia była niezmiernie grząską, tak że konie często się zapadały, grzęznąc po brzuchy, wobec czego musieliśmy nieustannie oswobadzać je z pakunków, by mogły znów powstawać. Gdzieniegdzie przebywaliśmy las częściowo wypalony, z jesionowemi gąszczami i wierzbami wzrostu człowieka, dzięki czemu posuwaliśmy się z musu wolno. Drzewa leśne przybrały były żółto brunatny jesienny odcień, który był niezmiernie piękny, a tu lub ówdzie mogliśmy jeszcze dostrzec śnieżne pola góry Nahlin poza nami, podczas gdy ku wschodowi ciągnęły się lasy i gąszcze bez końca. Liczyliśmy na dotarcie w ciągu czterech dni do stałego naszego obozu — „Caribou“ — a po ciężkiej przeprawie doszliśmy do góry Moose po południu drugiego dnia od chwili opuszczenia Nahlin‘u — a Moose jest to samotna góra wznosząca się wśród otaczającego ją lasu. Podczas ostatniego dnia marszu wytrwale szliśmy pod górę, aż nareszcie znaleźliśmy się ponad linją lasów, ciesząc się pięknym widokiem na kraj dookoła. Poniżej nas, otoczone ciemnemi, ponuremi lasami ciągnącemi się ku północy i zachodowi, było sześć czy siedem jezior błyszczących w południowem słońcu. Jeziora te, jak twierdził Dennis, zawierały wszelkie ilości ryby — północnych pstrągów, łatwo też można sobie było wystawić ogromne byki - łosie, które niewątpliwie brodziły w lasach pod nami.

Nie mogłem nie ubolewać nad tem, że rozporządzam tak ograniczonym czasem. Bo proszę sobie tylko wystawić, jakie przepiękne życie myśliwego możnaby było tutaj pędzić, gdyby można było pozostać około roku, nie zaś, jak to miało miejsce ze mną — być zmuszonym wykorzystywać każdy dzień dla magazynowania tych okazów, do których byłem uprawniony, spiesząc potem ku wybrzeżu, zanim mróz zamknie drogę rzeczną.

Gdyśmy zeszli z góry po drugiej jej stronie, znaleźliśmy na skraju lasu świerk balsamiczny, do którego była przybita deska nadpsuta dzięki pogodzie i od wiatru wyblakła. Można było wszakże rozpoznać na niej imiona Teita i angielskiego sportsmana (Grahama), którzy tu obozowali przed dwoma laty, a na desce wypisany był również rekord ich trofeów: dwie kozy gór skalistych, dwie owce, dwa Caribou, dwa łosie oraz trzy niedźwiedzie Grizzly. Zaiste piękny wynik.

My również obozowaliśmy tutaj przez noc, zamierzając powrócić później, po ukończeniu polowania na Caribou, by poszukać tu łosi, gdyż kraj dookoła był typowo łosiowy — otwarty las świerkowy i balsamiczny z wierzbami i dużemi bagnami. Wszędzie napotykaliśmy tropy łosi i miejsca ich odpoczynku, w jednym zaś miejscu podniosłem ogromne zrzucone rogi, których rozpięcie musiało liczyć ponad sześćdziesiąt cali (inches).

To właśnie miejsce zdawało się być ulubionem obozowiskiem Indjan podczas ich łowów zimowych, gdyż tuż przy naszem obozowisku znajdowało się indyjskie „cache“, czyli schronisko dla prowizji, ekwipunku i t. p. Był to mały kwadratowy domek z nadrąbanych i złączonych drewien, wzniesiony na wysokich słupach, by przeszkodzić zwierzętom, aby się dostały do jego zawartości — ale zauważyłem, iż niedźwiedzie jednak tam były i rzeczy porządnie porozrzucały.

Myśmy też schowali część prowizji zbytecznej, a następnego poranku ruszyliśmy znów dalej na wschód ku „Valdresflya“ (szerokie płaskowzgórze w Norwegji), jakem był ochrzcił duże pustkowie, któreśmy obserwowali ze szczytu góry Moose.

Z obozu Dennis odkrył łosia daleko w kierunku pustkowi, a więc wówczas, gdy inni wyruszyli wprost ku następnemu naszemu postojowi, Dennis i ja puściliśmy się, by zbadać, czy łoś ma duże łopaty. W miarę, jakeśmy się posuwali, płoszyliśmy wciąż wielkie ilości pardw (Willow Grouse) — a nigdy dotąd nie widziałem takiej sieci tropów łosich. Były to całe, jak gdyby wydeptane łąki, rozpościerające się we wszystkich kierunkach. Po godzinnym mniej więcej marszu, Dennis był mniemania, iż winniśmy być bardzo blisko naszej ofiary a to dzięki pewnym właściwościom gruntu, które zauważył. W wielu uprzednich wypadkach miałem sposobność podziwiać niesamowite wprost zdolności Dennisa pod względem prowadzenia mnie do jakiegoś określonego punktu, obranego zdala w krajobrazie, np. ze szczytu góry; niezważając że, jak to wie każdy mieszkaniec lasów — rzeczy wydają się tak odmiennemi z oddali. A więc nie byłem zbytnio zdziwiony, gdy bez wahania skierował się ku małej kępie brzóz, gdzie przypuszczał, że się łoś znajduje.

Trzymałem sztucer w pogotowiu, i jakem przypuszczał, gdyśmy się znaleźli trochę bliżej, porwał się wielki łoś-byk — i pognał wśród wierzb, gdzie leżał niewi-

*) F. M. Rosenberg, Norweg, wielkiej sławy sportsmen-myśliwy podróżował i polował po całym świecie. Przed kilku laty przeszedł obie Ameryki od Cap Horn'u po Alaskę. W zeszłym roku bawił i w Polsce zaproszony na sławne polowania na kaczki na Polesiu przez Maurycego hr. Potockiego, a podrodze odwiedził i Lwów. Dzieło swoje pod powyższym tytułem wydał w dwu językach, po norwesku i po angielsku. Korzystając z Jego uprzejmego zezwolenia, podajemy najciekawsze ustępy naszym czytelnikom. *Red.*

dzialny dla oka. Dojrzałem wnet, że łopaty nie były dość wielkie i pozwoliłem mu przejść bez szwanku.

Niezmiernie zajmującem było obserwować, z jak nadzwyczajną łatwością łoś przedostał się przez teren, który dla nas — dwunożnych — przedstawiałby ogromne przeszkody. Brzoza karłowa, której były tutaj wielkie ilości, dosięga tu znacznie większej wysokości, aniżeli w Norwegji i w nadzwyczajnie przykry sposób wije się dookoła nóg, co uniemożliwia całkiem ciche stąpanie.

Wyruszyliśmy w kierunku nowego postoju, a że nie miało już znaczenia, czyśmy hałasowali lub nie — skorzystałem ze sposobności strzelania do pardw dla kuchni ze śrutówki.

Dotarliśmy do obozowiska około szóstej godziny i znaleźliśmy je w małej kotlinie, porośniętej sosną i brzozą. Dennis przezwał to miejsce „wietrzną kotliną" — nazwa, na którą niezaprzeczenie zasłużyło.

Następnego rana około szóstej, obudziłem się przy szumie deszczu łopoczącego po dachu, później zaś w ciągu dnia pogoda była tak okropną — dżdżystą i wietrzną, że postanowiłem zatrzymać się przez drugą noc, w nadziei, że się ona poprawi. Moje nadzieje się ziściły, i ku wieczorowi wyjaśniło się przy znacznej zmianie temperatury — tak, żeśmy mieli wkrótce trzaskający mróz.

Zaświtał poranek jasny i wesoły i po krótkiem śniadaniu spakowaliśmy się, kazaliśmy objuczyć konie i wyruszyliśmy. Po jednodniowym marszu Willy i kucharz rozłożyli znowu obóz na pustkowiu dużem, a Dennis i ja, wybraliśmy się na poszukiwanie „Caribu". Mięso kozie dawno już było zjedzone i zachowaliśmy już tylko trochę głuszców, jak też i kilka jeżozwierzów zabitych przy okazji, tu i tam; spragniony więc już byłem soczystego kęsa jeleniego!

Z pustkowia wznosiła się niewielka góra, odległa jednak o wiele mil ku zachodowi i ku niej skierowaliśmy nasze kroki. Gdyśmy dotarli do jej podnóża, spostrzegliśmy rodzaj płaszczyzny, która się rozciągała w połowie drogi do szczytu góry i na tej płaszczyźnie zatrzymaliśmy się, rozglądając się na wszystkie strony. Nic jednak dostrzec nie mogliśmy, postanowiliśmy więc iść dalej do szczytu, który miał kształt głowy cukru. Dennis przezwał go „Sharp Mountain" (Ostra Góra).

W drodze spotykaliśmy niezliczoną ilość prawdziwych norweskich Willow Grouse, ale żadnego caribou nie widzieliśmy. Wdrapaliśmy się na sam prawie szczyt „Sharp Montain", ale ponieważ w takiem położeniu nic dopatrzeć nie bylibyśmy w stanie, postanowiliśmy zejść, gdy właśnie Dennis chrząknął znacząco i wskazał mi opodal czarny przedmiot na pagórku, odległym od nas na jakie 70 lub 80 yardów.

Gdy spojrzałem na ten punkt przez binokle, uczułem gorącą, uderzającą na mnie falę krwi, gdyż było to nic innego, jak prawdziwy, żywy niedźwiedź, zajęty pilnie wygrzebywaniem ziemnych wiewiórek gatunku „Citellus plesius", stanowiących w obecnej porze roku wyborne dla niego pożywienie. Pomimo, że wypadało natychmiast się podkraść do strzału, nie mogłem się w tej chwili oderwać od oglądania tej sceny. Niedźwiedź kopał czterema łapami odrzucając ziemię i kamienie na wszystkie strony, a odkopana biedna, wystraszona wiewiórka, wyskakiwała z nory i wnet się chowała opodal w drugą. Niezgrabnym skokiem wysilał się niedźwiedź, by ją złapać, ale zawsze daremnie; i to się kilkakrotnie powtarzało.

Kierunek wiatru nie był dla nas pomyślny, musieliśmy więc działać z jak największą ostrożnością, aby niedźwiedź nas nie zwietrzył. Zauważyłem w dole mały pagórek, o jakie 70—80 yardów od niedźwiedzia i gdybyśmy tylko tam dotrzeć mogli niepostrzeżeni, bylibyśmy w polu strzału. Stosując się do wiatru, musieliśmy skręcić z naszej drogi, przez co, na nieszczęście straciliśmy z oka niedźwiedzia.

Z największą ostrożnością i z niemałem przejęciem wygramoliliśmy się wreszcie na cypel pagórka, trzymając wciąż broń w pogotowiu. Niedźwiedź jednak zniknął! Gdy jednak już zeszliśmy, ujrzałem go pędzącego na tę górę.

Wątpliwem się być zdaje, aby niedźwiedź mógł nas zwietrzyć, ale to pewne, że gdyby był odnalazł świeże nasze ślady wzdłuż góry, szczęście nieodwołalnie byłoby dla nas stracone!

Dennis popędził, kierując swój bieg równolegle z biegiem niedźwiedzia i ja też pośpieszyłem za nim, ale wkrótce zrozumiałem, że w ten sposób nie zbliżę się nigdy do niego, a przytem brakło mi już zupełnie tchu, tak, że nie byłbym w stanie dobrze wycelować, gdyby do strzału przyszło.

Gdy Dennis zauważył, że zwolniłem kroku, zaczął ze złością wymachiwać na mnie, ale ja nie zważając na to, usiadłem, a znalazłszy mocno oparcie dla mych pleców, podniosłem wizjer na 200 yardów i strzeliłem. Niedźwiedź rzucił się, ale ponieważ spostrzegłem, że strzałem tym zdołałem go ledwie zaniepokoić, drugą kulę wypuściłem. Tym razem ona niemiło go zapewne dosięgła, gdyż wykonał komiczny skok, ale mimo to znów biegł dalej w górę.

Wpołowie tej góry, na jej tyle, znajdowała się mała terasa czy też płaszczyzna, naprzeciw ścieżki, którą biegł niedźwiedź; wyobraziłem więc sobie, że gdy do niej dotrze, przystanie tam na chwilę i rozejrzy się, zanim spuści się po jej skłonie w dół.

(C. d. n.)



Wałycz

Po zwiedzeniu i zamknięciu „Pewuki" w Poznaniu, pojechałem do Wałycza na Pomorze, aby odwiedzić mego Wuja, Aleksandra Dąmbskiego i uściskać jego syna Jerzego, z którym łączą mnie od lat bardzo serdeczne i zażyłe stosunki rodzinne.

Kochany Jerzy zaprosił mnie mimo spóźnionej pory (październik) na rogacza.

„Dzięki" temu zaproszeniu zubożał rewir Wałycz o jednego rogacza, którego ubiłem na rannym podjeździe dnia 3 października b. r., z doskonałej broni Jerzego, Mauzera „Magnum" kal. 3×60 z lunetą „Ajack", gdyż swego „Schönauera" nie przywiozłem do Wałycza.

Chociaż rewir Wałycz nie leży w orbitrze działania M. T. Ł., bo leży na Pomorzu, w powiecie Wąbrzeskim, mimo to pozwolę sobie o tym rewirze w naszym „Łowcu" napisać parę słów, bo serce rośnie, gdy się porównuje dzisiejszy stan łowiecki Wałycza ze stanem z przed lat kilku.

Majątek Wałycz o obszarze około 5.000 morgów pruskich, w czem połowa roli i łąk a połowa lasu, został kupiony przez Aleksandra hr. Dąmbskiego w r. 1920 od p. Stanisława Chełmickiego z Zakrzewa (Poznańskie).

Stan łowiecki Wałycza, był w chwili nabycia go, fatalny.

Niemiecka straż graniczna t. zw. „Grentzschutz" cofająca się z Pomorza, wytłukła w Wałyczu ogromne ilości zwierzyny łownej — a potem uradowani wolnością na swój sposób chłopkowie, dezerterzy i wszelakiego gatunku szumowiny społeczne dokończyły dzieła.

Kłusownictwo i wnykarstwo święciło tu wtedy istne orgje. Daniele, spotykane ongiś rudlami, (znany dublet p. Chełmickiego do łopataczy z jednego stada) zostały w 90% wybite, stan sarn dawniej wspaniały, spadł do sztuk kilkunastu, duża bażantarnia zaprowadzona przez p. Chełmickiego została doszczętnie zniszczona, zające zdziesiątkowane i t. d. — a na tem cmentarzysku łowieckiem mnożyły się w zastraszający sposób wszelakiego gatunku szkodniki.

Na szczęście nie trwało to długo! — Młodzi a energiczni synowie nowego właściciela Józef i Jerzy hr. Dąmbscy, zabrali się intenzywnie od jakiegoś roku 1923 do uporządkowania rewiru — co im się już prawie w zupełności udało.

Oczywiście zaprowadzona została w Wałyczu doskonała straż łowiecka (z kozaków dońskich, dawnych żołnierzy Denikina, pochodzących z Astrachańskiej i Saratowskiej gubernii). — Ta straż łowiecka zabrała się niesłychanie energicznie do kłusowników i wnykarzy.

Sławny stał się w tej akcji leśny, Promień, który sam po walce przytrzymał i rozbroił czterech kłusowników. Rozpoczęto na wielką skalę tępienie szkodników, za „śmierć" których, właściciele wyznaczyli wysokie premje dla straży łowieckiej.

W roku 1925, zaprowadzono w Wałyczu na nowo bażanty. Zorganizowane zostało intenzywne żywienie zwierzyny łownej w ciągu zimowych miesięcy i zaprowadzone zostało mądre gospodarstwo łowieckie w rewirze. Dzierżawi się także polowania okolicznych gmin.

Dziś po kilku latach takiej pracy, Wałycz to bogata w zwierzynę łowną knieja. Mimo strasznej zimy 1928/29, która w Wałyczu, podobnie zresztą jak wszędzie, duże szkody w zwierzostanie zrobiła — można być o przyszłość tego rewiru zupełnie spokojnym.

Widzi się tu bardzo już poważną ilość sarn, zajęcy jest pełno, bażanty rokują najlepsze nadzieje, są kuropatwy, chociaż warunki dla ich rozmnoży nie są tu zbyt idealne, na wodach, mokradłach i łąkach rewiru, przebywają w dużych bardzo ilościach kaczki i krzyki (kaczek pada w sezonie lekko 150—200 sztuk) jest trochę chruścieli a na przelotach spotyka się liczne stada dzikich gęsi.

Nie brak i królików, tego „proletarjatu kniei" (na które poluje się tu także z fretkami) — a lisy zwalczane w Wałyczu ostro ze względu na bażancie zamiary właścicieli, pomimo że składają rok rocznie obfitą ze swych skórek daninę — nie dają się w zupełności wytępić, z czego ja osobiście się cieszę, będąc stanowczym zwolennikiem „równowagi" w naszej przyrodzie, t. j. przeciwnikiem zupełnego wytępienia danego gatunku, chociażby nawet szkodliwego.

Z dawnych stad danieli zostały niestety nieliczne okazy, które mimo opieki nie mnożą się należycie; widocznie są już zdegenerowane i wymagałyby gwałtownie odświeżenia krwi.

Dalsza opieka nad Wałyckim rewirem pozostanie teraz już tylko w rękach Jerzego Dąmbskiego — bo jego brat wyjechał w tym roku do Peru — skąd nadsyła ciekawe listy, w których nie brak zajmujących opisów o jego tamtejszych łowach.

Na zakończenie podam tu jeszcze kilka dat — które najlepiej zobrazują podnoszenie się Wałyckiego rewiru:

Gdy w pierwszych latach po nabyciu Wałycza padało kuropatw w sezonie około 40 — teraz pada ich przeciętnie do 160 sztuk.

Gdy w roku 1921, padło na polach Wałyckich około 40 zajęcy, to w roku 1923, pada w lesie 60 zajęcy. — Rok 1925 daje w polu 112 zajęcy. Kniejowe polowanie w roku 1926 daje na rozkładzie jakieś 70 zajęcy, polowanie w polu i w lesie w roku 1927, daje 160 zajęcy. Rok 1928, przynosi jako rezultat polowania przeszło 240 zajęcy.

Rogacze strzela się w Wałyczu tylko na podchodach i podjazdach kulami. — W roku 1923, padł w Wałyczu 1 rogacz, w roku 1924 ubito 1 rogacza, rok 1926 dał na rozkładzie 3 rogacze, a w roku 1927 padło 2 rogacze, w roku 1928 pada 3 rogaczy, a w roku 1929 padło 9 rogaczy, z czegoubili: Jerzy Dąmbski 6 rogaczy, (w tem jeden kapitalny, dwa bardzo silne a jeden ciekawy wstecznik) p. Leszek Mieczkowski 1 rogacza, p. Adam Konopka syn Dyrektora Adama Konopki z Krakowa 1 rogacza (podobno kapitalnego) i niżej podpisany 1 rogacza.

Bez przesady można powiedzieć, że rozkłady ubitej gaczy, z czego ubili: Jerzy Dąmbski 6 rogaczy, (w tem większe — ale Józef i Jerzy Dąmbscy nie polują (jak to niestety wielu czyni na zachodzie) dla ilościowego rekordu — lecz z rozumną łowiecką wstrzemięźliwością, nic dziwnego, bo łowiectwa się od wczesnej młodości w naszych Małopolskich kniejach uczyli a w żyłach ich tak po mieczu jak i po kądzieli, płynie krew znakomitych myśliwych a ich dziadów, ś. p. Józefa Dąmbskiego z Rudnej i śp. Kazimierza Wodzickiego z Olejowa.

Stanisław Korwin-Milewski



Inż. W. M.

Krajowy wyrób bezdymnego prochu śrutowego

Czyniąc zadość życzeniu Sz. Redakcji, spieszę podzielić się z Braćmi w Św. Hubercie wiadomościami odnośnie do polskiego prochu bezdymnego śrutowego, wyprodukowanego przez Państ. Wytwórnię Prochu i Materjałów kruszących w Zagożdżeniu.

Jego głównym składnikiem jest czysta celuloza — nie zawiera więc żadnych ingredjencji wywołujących rdzewienie luf; ma formę kwadracików, o wymiarach $\frac{1{\cdot}6 \times 1{\cdot}6}{0{\cdot}15}$ mm i siwosrebrzysty, do granitu zbliżony połysk.

Oficjalnie nazywa się: „B — 30".

Daje on śrutem chyżość wylotową: Vo = 375 m/sek., t. j. taką, jaką nadają najlepsze zagraniczne prochy.

Na ogół bardzo zbliżony do niemieckiego Rottweilera, (obecnie bezsprzecznie najlepszego prochu na świecie) — ma jednak kilka zalet, które mu nawet pierwszeństwo przed tym prochem dają.

I tak w pierwszej linji jest to proch bardzo łagodny, t. j. wywiera na ściany lufy mniejsze ciśnienie, niż np. Rottweil.

Dalej jest bardziej odporny na wilgoć, zaś na mróz reaguje tak, jak Rotwteil — t. j. daje — jak zresztą każdy bez wyjątku proch bezdymny — odrobinę mniejszą chyżość wylotową i mniejsze ciśnienie na ściany lufy.

Intensywnie wysuszony (np. trzymany przez dłuższy czas blisko pieca, kaloryferów i t. p.) nie traci swoich zalet balistycznych i zwiększa ciśnienie na ściany luf nieznacznie, nie przekraczając nigdy dopuszczalnych granic (t. j. 600 kg/cm²) — podczas gdy Rottweil takiemu eksperymentowi poddany, wykazuje napięcie dochodzące do 700 kg/cm² a nawet i wyżej; jest to ogromna zaleta prochu B-30, ze stanowiska osobistego bezpieczeństwa strzelającego.

W końcu jego ogromną zaletą jest, że kosztuje on obecnie o 20% mniej niż Rottweil — są zaś widoki, że będzie jeszcze tańszy, gdy zbyt jego na rynku prochowym pozwoli na jego fabrykację we większym zakresie. Cena jego w handlu detalicznym wynosi 32 zł. za 1 kg, podczas gdy za Rottweil płacimy w kraju 40 zł.

Ma on jednak — jak każdy proch bezdymny — swoje pewne właściwości, które skrupulatnie uwzględnić należy, jeśli się chce wszystkie jego doskonałe strony w zupełności wykorzystać.

Do tych należy przedewszystkiem jego stosunkowo trudna zapalność. Wymaga on doskonałej, silnej spłonki. Jako taką wymieniam na pierwszem miejscu spłonkę miedzianą Gevelot, używaną np. w łuskach Warszawskiej Spółki Myśliwskiej lub łuskach „Luxus" wytwórni „Pocisk".

Przed używaniem łusek o słabszych spłonkach — jakie znajdujemy np. w niektórych zagranicznych tańszych produktach — trzeba Szan. P. Myśliwych przestrzec. Narażają się bowiem na tak niemiłe „niedopały".

Kupując naboje, należy baczyć, by były porządnie najmniej 5 mm zakręcone.

Obraz na 75 cm tarczy, jest — co sam stwierdziłem — bardzo równomierny; od strzału do strzału wynoszą różnice w liczbie śrutów ledwie kilka procent — co bardzo dodatnio świadczy o równomiernem spalaniu się prochu.

Wobec tego, że naboje z tym prochem dopiero przed kilku tygodniami się ukazały, nie miałem sposobności wypróbować go na zwierzynie; jednak dwie słonki, ciągnące bardzo wysoko, udało mi się jak czapki, spuścić na ziemię. Ubiłem także kilka srok i wron, które również martwe spadły z drzewa — a wiemy, że te drapieżniki to twarde sztuki! Osobiście nabrałem bardzo dużego zaufania do tego naszego prochu i z Rottweilem — którego dotąd wyłącznie używałem — rozstałem się wprawdzie z wielkim szacunkiem, ale definitywnie!

Państw. Wytw. Prochu powierzyła zastępstwo sprzedaży tego prochu wprawdzie Warsz. Spółce Myśliwskiej, chcąc jednak zapobiec ewentualnej spekulacji ze strony pośredników, zastrzegła sobie prawo regulowania cen tak „en detail", jak i „en gros" — tak, że sprzedaż tego prochu po wyższych, niż przez P. W. P. ustanowionych cenach, będzie wykluczona.

Żywić należy też nadzieję, że ponieważ cena tego prochu en gros ma wynosić około 28 zł. za 1 kg — więc i ceny naszych krajowych nabojów — dotąd tak horendalnie wysokie — spadną w końcu do poziomu opartego na ich faktycznej wartości.

Reasumując wszystkie zalety i właściwości tego naszego prochu — trzeba przedewszystkiem pogratulować P. W. P. w Zagożdżeniu tego tak pięknego sukcesu, a potem zwrócić się z apelem do naszych Sz. Myśliwych i Strzelców i Właścicieli Magazynów Broni, by mając do dyspozycji własny, tak doskonały proch, używali go wyłącznie, eliminując definitywnie wszystkie zagraniczne fabrykaty.

Św. Hubertowi cześć!

Ryków, kwiecień 1930.



Wystawa Psów Rasowych

w Warszawie

Polski Związek Hodowców Psów Rasowych przy Centralnym Komitecie do Spraw Hodowli Drobiu w Polsce z siedzibą w Warszawie, wspólnie z Towarzystwem Hodowli Psów Myśliwskich, urządzają w dn. 24—27 maja r. b. wystawę psów rasowych: myśliwskich, obronnych i pokojowych.

Wystawa powyższa ma na celu dokonanie przeglądu psów rasowych przez najwybitniejszych kinologów w Polsce i zaznajomienia szerokich warstw z postępami w tej dziedzinie.

Jako nagrody dla wystawców przeznaczono: dyplomy honorowe, medale złote, srebrne i bronzowe, oraz listy pochwalne. Nadto będą wydawane cenne nagrody pamiątkowe, ofiarowane przez różne organizacje i poszczególne osoby, którym leży na sercu sprawa podniesienia hodowli psów w Polsce.

W celu ułatwienia przeglądu psów poszczególnych ras i skrócenia czasu przebywania psów na wystawie, będzie wprowadzona pewna inowacja na wzór zagranicznych, mianowicie w dn. 24 i 25 maja będzie wystawa wyłącznie psów myśliwskich wszystkich ras, a 26 i 27 maja psów obronnych i pokojowych.

Aby zawczasu zorjentować się w ilości zgłoszeń, Komitet Wystawy uprasza o nadsyłanie wypełnionych deklaracyj do dn. 15 maja r. b. do Komitetu Wystawy według wymienionego niżej adresu.

Biuro Komitetu Wystawy mieści się w Warszawie przy ul. Kopernika 30, tel. 201-38.

Wystawa obejmować będzie następujący działy:

Dnia 24 i 25 maja — I) Psy myśliwskie: a) Wyżły, b) Ogary, c) Charty, d) Jamniki, e) Spaniele, f) Foksterjery i inne.

Dnia 26 i 27 maja — II) Psy od stróżowania i obrony: a) Owczarki, b) Airedalle Terjery, c) Dobermany, d) Bernardy, e) Wodołazy, f) Dogi, i inne.

Psy pokojowe: a) Pudle, Buldogi, b) Ratlery, c) Szpice, d) Chin-Chiny, e) Grifony Brukselskie i inne.

Nadto przez cały czas wystawy będą wystawione:

Przybory do hodowli i tresury psów, oraz modele urządzeń psiarni.

Pokarm i środki lecznicze.

Literatura, fotografje, tablice etc.

Atrakcje: a) popisy psów, b) rewja psów nagrodzonych i t. d.

Warunki i przepisy dla wystawców:

1) Zgłoszenia na udział w Wystawie należy nadsyłać najpóźniej do 17 maja 1930 r. włącznie do Biura Wyst. Psów Rasow. Warszawa, Kopernika 30. Zgłaszający winni nadesłać dwa egzemplarze deklaracji, z których jedną zatrzymuje Komitet Wystawy, a drugą, w razie warunkowego przyjęcia zgłoszenia, przesyła wystawcy.

2) Jednocześnie z deklaracjami należy przesłać opłatę za miejsce na Wystawie na rachunek czekowy Centralnego Komitetu Hodowli Drobiu w Polsce (dla Związku Hodowców Psów Rasowych w Warszawie, w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 6.054).

3) Eksponaty zgłoszone i przyjęte warunkowo winny być dostarczone na Wystawę o godz. 16 dnia 23 maja — psy myśliwskie i w dniu 26 maja (o godz. 8 rano) inne, pod adresem wskazanym przez Komitet Wystawy w zawiadomieniu o przyjęciu. Dostarczone eksponaty klasyfikuje Komisja Kwalifikacyjna, po zbadaniu przez lekarza weterynarji. Eksponaty nie zgłoszone do 17 maja r. b., o ile będzie wolne miejsce mogą być przyjęte. O ile eksponat nie zostanie zakwalifikowany na wystawę, zwraca się opłatę przesłaną przy deklaracji.

4) Eksponat winien być zupełnie zdrowy, czysty, wolny od pasorzytów, zaopatrzony w mocną obrożę ze sprzączką (zaciągana obroża niedopuszczalna). Suki grzejące się i widocznie ciężarne, jak również szczenięta bez matek przyjmowane nie będą.

5) Psy powyżej dwudziestu miesięcy zapisywane będą do klasy otwartej, okazy młodsze od 8 do 18 miesięcy do klasy młodzieży. Psy ponad 10 miesięcy mogą być na żądanie wystawcy zgłaszane do obu klas. Nadto psy uprzednio nagradzane mogą być zadeklarowane do klasy: a) zwycięzców polowych i b) zwycięzców wystawowych. Eksponaty z rodowodami Pol. Związku Hodowców Psów Rasowych, lub innego Związku uznane przez Zarząd Pol. Zw. Hod. Psów Ras. lub Towarzystwo Hodowli psów myśliwskich, mają pierwszeństwo przy nagradzaniu, przed okazami niezapisanemi do księgi rodowej Pol. Związku.

6) Psy gryzące muszą mieć kaganiec i własną obsługę. Za ukąszenie odpowiada właściciel eksponatu. Psy złe będą umieszczone za siatką.

7) Karmione i obsługiwane będą eksponaty stosownie do zadeklarowania. Komitet karmi tylko psy pozamiejscowe.

8) Psy tchórzliwe i dzikie winny być, jako takie, zadeklarowane.

Odprowadzanie psów na Wystawę musi być punktualne, t. j. do godz. 9 rano pod groźbą utraty kaucji.

9) Opłaty wynoszą: za wystawienie psa 10 zł. od psów członków związku i 15 zł. od niezrzeszonych. Za udział w klasie następnej dopłaca się 5 zł. Za prawo zabierania psa na noc pobiera się kaucję zwrotną w sumie 25 zł. Za żywienie psów zamiejscowych pobiera się 1 zł. dziennie.

10) Miejsce i godziny spaceru i wypróżniania psów muszą być przestrzegane. W razie zanieczyszczenia terenu Wystawy w obrębie ruchu publiczności, płaci właściciel eksponatu karę każdorazowo w wysokości 3 zł.

11) Informacji wystawcom udzielają Członkowie Komitetu Wystawy, zaopatrzeni w specjalne odznaki.

12) Wystawcy obowiązani są przestrzegać przepisy Komitetu Wystawy i stosować się do wskazówek Członków Komitetu. Każdy wystawca ma prawo do otrzymania jednego biletu wejścia na Wystawę bezpłatnie, a o ile żąda więcej biletów płaci normalne ceny.

Ocena eksponatów przez sędziów nie podlega zmianie. Dowód na przyznanie nagrody otrzymują wystawcy następnego dnia, po ekspertyzie.

Uwaga: W razie potrzeby Komitet Wystawy ma prawo nakazać natychmiastowe usunięcie eksponatu z Wystawy i z tytułu tej decyzji, wystawca nie może mieć żadnych pretensyj do Komitetu. Sprzedaż eksponatów musi być rejestrowana w biurze Wystawy, które pobiera od sprzedawcy i kupującego po 5%, od ceny sprzedanych eksponatów. Przed zamknięciem Wystawy, eksponatów zabierać nie wolno. Usunięcie eksponatów z Wystawy musi nastąpić nieodzownie po skończeniu wystawy (psów myśliwskich 25 maja wieczorem), innych 27 maja wieczorem.

Komitet Wystawy



Na ołtarz Św. Huberta w dalszym ciągu złożyli: O. C. zł. 12·50,

Ogłoszenie

Zwyczajne Walne Zgromadzenie Członków czynnych i wspierających Polskiego Klubu Myśliwskiego w Złoczowie, odbędzie się **dnia 29 maja 1930 r.**, w czwartek **o godzinie 11-tej** przed południem, w sali posiedzeń Spółdzielczego Banku Zaliczkowego w Złoczowie, przy ulicy Farnej, a w razie braku kompletu statutem oznaczonego o godzinie 11^{30}, lecz już bez względu na ilość obecnych członków, z następującym porządkiem obrad:

1) Zagajenie i odczytanie protokołu z poprzedniego Walnego Zgromadzenia.
2) Sprawozdania: sekretarza, łowczego, skarbnika i Komisji rewizyjnej z wnioskiem na udzielenie Zarządowi absolutorjum z czynności i rachunków za rok myśliwski 1929/30.
3) Uchwalenie preliminarza i wysokości wkładki członków czynnych i wspierających, na rok myśliwski 1930/31.
4) Wybór członków zarządu na lat 3.
5) Wybór 5-ciu członków Komisji rewizyjnej.
6) Wnioski i interpelacje.

ZARZĄD POLSKIEGO KLUBU MYŚLIWSKIEGO

W Złoczowie, dnia 5 maja 1930 r.

Z wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 18 zawiera: Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. (Odwołanie udziału w Wystawie Łowieckiej w Lipsku). — Andrzej Onyszkiewicz: Z polowań w Rozhurczu. — Leon Starkiewicz: Na pierwszem tokowisku. — M. Z.: Niebezpieczna przygoda. — Emil Karney: W sprawie szkockich setterów, t. zw. gordonów. — Aleksander Janta-Połczyński: Flirt z ornitologją. — W. S.: Sport strzelecki w Szwajcarji. Władysław Górski: Wolna Trybuna, Wnioski. — Kronika myśliwska. — Z żałobnej karty. — Wiadomości bieżące. — Bibljografja łowiecka. — Odpowiedzi Redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 19 zawiera: Od Administracji. — Wyprawa na niedźwiedzia. — Janusz Domaniewski: żółta karczma. — Edward Niedziałkowski: Filozofja myśliwska mojego ś. p. Wuja. — Leon Starkiewicz: Na pierwszem tokowisku. — Dr. Władysław Burzyński: Płochliwość, czy instynkt samozachowawczy? — Inż. L. Ossowski: Choroby naszej zwierzyny łownej oraz sposoby ich zwalczania. — J. Podoski: Precyzja sztucerów myśliwskich. — List od Redakcji. — Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. — Wystawa Psów Rasowych w Warszawie. — Śląskie Tow. Łowieckie. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości handlowe.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16